



Adam Cebula "Wykluczenie elektryczne"

nimfa bagienna



Naszła mnie kiedyś pewna bardzo zatroskana kobieta. Zadała kilka pytań i oznajmiła, że jestem wykluczony elektronicznie. Chyba miała mnie zamiar... wkluczać. Niestety miałem tego dnia zły humor, może to było tak dawno, że jeszcze się czegoś spodziewałem, i nie miałem wszystkich doświadczeń, które mieć powinienem. Tak - to prawda - nie posługuję się kartą płatniczą, nie mam konta na „fejsbuku” (czy co tam za medium wówczas było na topie). Młodzi nie zauważają, ale Facebook jest którąś z kolei tego typu imprezą, istotne okazało się to, że nie było mnie tam, gdzie pani uznawała, że są wszyscy ludzie. A ja nie wiedziałem: na czorta czymś takim zawracać sobie głowę?

W odpowiedzi na pytania pani zadałem kilka swoich: a jeśli ktoś posiada KILKA stron internetowych, umie pisać te strony w czystym html-u i wie, dlaczego niedobrze jest używać do generacji kodu html programów typu WysWig, to też jest wykluczony? Pokazałem pani, że w Linuksie można używać różnych desktopów oraz trybu tekstowego, i uzyskałem charakterystyczny zwis szczęki, ale...

...ale jednak ja uważam, że pan jest wykluczony.

Musiałem zmądrzeć podczas tej rozmowy, bo odpowiedziałem coś w stylu „na co to poradzić” (nie „co na to poradzić”). Tak mawiano w mojej wsi, gdy ktoś koniecznie chciał sobie zrobić kuku, w odróżnieniu od okoliczności, w której wyczerpano wszelkie środki przeciwdziałania nieszczęściu.

Kilka razy pisałem o pewnym micie (ochoczo rozpowszechnianym przez tak zwane media) o tak zwanym wykluczeniu, zwłaszcza starszego pokolenia. Prawdą jest, że młodzi bywa że górują, ludzie mają nade mną fory np. w sprawach językowych. Nie będę się spierał, czy znajomość cyrylicy daje mi sumarycznie przewagę nad bardzo dobrze władającymi angielskim. Gdy jednak szukam innych przewag lub ich braków, odpowiednio młodych czy starych, zwłaszcza w obszarze informatyki, nie widzę niczego zasadniczego

Tym bardziej że gdybym nawet nie potrafił inaczej, niż za pomocą „fejsbuka”, że się tak poetycko wyrażę, „umieszczać treści w internecie”, to od zawsze wiem, że aby treści gdziekolwiek umieścić, to na początek trzeba mieć cokolwiek - jak to w przypadku treści - do powiedzenia. A jeśli rozszerzymy pojęcie treści na inne media, jak się tajemniczo dziś mówi (czyli zdjęcia, filmy czy nagrania), to także to coś trzeba mieć, i to takie, żeby było poważne podejrzenie (lub nadzieja), że to kogokolwiek

zainteresuje.

Otóż w ramach poszukiwania wykluczonych elektronicznie podniesiono zagadnienie technologii umieszczania tych treści ponad samo ich wyprodukowanie. Sorry, taki mamy klimat technologiczny, że to szaleństwo. Bardzo łatwo jest umieścić, bo pracuje nad tym technologia np. CMS. Bardzo trudno zrobić by było to, co umieścić należy, bo tym para się sztuka od kilkunastu albo dziesięciu tysięcy lat. Bez zasadniczych sukcesów, jeśli chodzi o gotowe przepisy.

Cóż, produkcja treści to pisanie, a pisanie bez czytania to raczej nie ma, nie ma erudycji, nie ma zasobu językowego bez czytania, niestety, dobrej literatury. Czy muszę przypominać, jak jest z czytelnictwem w naszym wspaniałym kraju?

Złośliwie powiem, że jedną z przyczyn trudności z uzyskaniem treści jest walka z wykluczeniem elektronicznym. Chętnie zajmowanie się rzeczami modnymi, tymczasowymi i łatwymi, zamiast tymi co nieco solidniejszymi i trudniejszymi. To szkodzi zawsze, nawet gdy chodzi o treści okołokomputerowe. Taka refleksja nasza mnie, gdy koleżanka zajmująca się zawodowo informatyką zameldowała brak programistów potrafiących budować algorytmy. Cóż, w szkołach uczono ich czegoś wyglądającego o wiele poważniej niż zakładanie konta na Naszej Klasie czy nawet zakładanie bloga od początku (na przykład na stronie oferującej tylko miejsce na serwerze, gdzie trzeba najpierw uruchomić MySQL, załadować na początek np. Wordpressa, skonfigurować go itd.). Z pewnością nauka języka C# czy D wygląda dużo poważniej. Sęk w tym, że zazwyczaj chodzi o obsługę aplikacji RAD, polegającą na przeciąganiu i upuszczaniu.

Tymczasem za dawnych czasów wyglądało to tak, że problem cybernetyczny był uznany za rozwiązany, gdy się znalazło ALGORYTM. Dawniej wszystko kręciło się wokół poznania standardowym chwytów na rozwiązywanie poszczególnych problemów, i było – moim i zdaniem i doświadczeniem – przekonanie, że jak delikwent poznał zasady programowania w jednym języku, to jakby nauczył się łaciny: z resztą języków pójdzie mu jak po maśle.

Podejrzewam, że nauczycieli w szkołach programistów przytłacza strach, że nastąpi kompromitacja, gdy się okaże, że absolwent nie umie z kopyta ruszyć do roboty w najnowszej wersji najmodniejszego obecnie języka i jeszcze dodatkowo obsługując najpopularniejszy program ułatwiający programowanie. Natomiast brak umiejętności radzenia sobie z algorytmami może wyleźć jedynie w konfrontacji z coraz rzadszym zjawiskiem zwanym starym programistą.

Wyobraźmy sobie kierowcę, który został znakomicie przeszkolony w obsłudze samochodu, powiedzmy nawet, że znakomicie potrafi radzić sobie w prawdziwym ruchu. Ma tylko jeden kłopot: kazano mu dostarczyć paczkę, a on kompletnie nie zna miasta. Adres zna opisowo, nie da się tego wklepać w „dziłpiesa”. W takiej mniej więcej sytuacji znajduje się programista, którego szkolono w najnowszych wynalazkach, i dla którego zabrakło czasu na te stare, wyświechtane algorytmy.

Bardzo mi przykro, ale – nie wykraczając poza obszar komputerowy, nie zahaczając o śliskie tematy czytelnictwa czy znajomości nauk mniej lub bardziej ścisłych – nie czuję się gorzej od młodzi, która szaleje z komórczakami, tabletami, „twituje”, „ememesuje”, oraz coś tam jeszcze. Kiedyś zdarzyło mi się stanąć po raz pierwszy przed automatem do sprzedawania biletów. Bardzo, bardzo nowoczesnym. Zobaczyłem ekran. Domyśliłem się, że może być dotykowy, bo takie coś opisywano w „Młodym Techniku” gdzieś w latach siedemdziesiątych. Domyśliłem się, że mam tu typ interface „wizard” (czy „kreator”, różnie to zwą), gdzie idziemy do celu krok po kroku. Coś popsulem, ale „wkłucie się” w nową technologię zajęło mi mniej niż minutę.

Jakoś nie czuję respektu przed widniejącym na urządzeniach mobilnych graficznym interfejsem zbudowanym na Androidzie, który jest uproszczonym Linuxem. Bardzo mi przykro, ale w lwiej

części wypadków, gdy indywidualny user robi rzecz dziś uznawaną za straszną, „koduje” (czyli pisze) jakiś własny program, to najmądrzej zrobić to, najprościej, czyli w trybie tekstowym. Lepiej nawet nie dotykać bibliotek graficznych, ograniczyć do minimum operacje (a z nimi rozmiar kodu), bo zawsze się coś knoci i im mniej linijek do przepatrzenia, tym szybciej dochodzimy, co się stało. Jeśli eksperymentujesz, to interfejs usera ogranicz do podania nazwy pliku z danymi, pliku wynikowego i wklepania z palca parametrów przetwarzania. To zadziała i będzie naprawdę dobrze chodziło.

Warunek jest tu jeden, o ile z takiego programu nie będą musieli korzystać młodzi ludzie. To już wiele razy pisałem: zaimplementowano im dysfunkcję, powiedziałbym, inwalidztwo, nie wpiszą polecenia bez literówki.

Proszę to zwalić na wiek, ale mam wiele powodów, by patrzeć na młodych ludzi, tych szalejących po społecznościowych mediach, bankujących elektronicznie, zdałoby się, korzystających pełnymi garściami z nowoczesnych technologii, jak na z lekka upośledzonych. Tylko niewielka część spośród nich posiada umiejętność za czasów DOS-a elementarną, czyli wklepywania ścieżki dostępu, rozumienie składni poleceń i niepanikowanie, gdy omsknie się łapka na jakimś klawiszu, tylko wynajdowania i poprawiania błędów. Jeszcze mniejsza gromadka odważy się samodzielnie napisać skrypt – czyli używać komputera zgodnie z przeznaczeniem – do uruchomienia samodzielnie zmodyfikowanego, albo, o zgrozo, samodzielnie napisanego oprogramowania.

Jeśli wypuścimy się na stepy i puszcze innych obszarów ludzkiej działalności, przyjdzie starym jedynie biadać nad młodymi. Tu dystans osiąga rozmiary Kanionu Kolorado. Kiedyś kolega z pracy z lekka zrozpaczony relacjonował jakąś potyczkę ze studentami: „Oni nic nie wiedzą o elektryczności!”. Ano nie wiedzą, bo jak mają, skoro wywalono nudne nauki z nauczania i zastąpiono je informatyką, która sprowadza się do poznawania interfejsu użytkownika w aktualnej wersji „łorda” czy Painta. „Eksel” jest już czymś bardziej ekskluzywnym i zazwyczaj zostaje on – jak to się mówi – zaliczony w poczet tzw. kompetencji, ale nie nauczony w stopniu umożliwiającym korzystanie z niego.

W temacie owej elektryczności miałem kilka razy dyskusje z młodymi ludźmi, sfrustrowanymi tym, że w ramach studiów każą się im się zabawiać jakimiś kabelkami, zamiast na przykład wszystko to zasymulować na komputerze. Kilka razy tłumaczyłem im, że na takiej samej zasadzie, na jakiej poszukuje się „wykluczenia elektronicznego”, można wymyślić sobie „wykluczenie elektryczne”.

Uświadomiłem sobie niedawno, że moje argumenty, które wymyśliłem i przedstawiałem jako pokaz sztuki wymowy, które miały służyć wykazaniu, że tyleż samo są warte argumenty za komputerami, co i za kabelkami, są zwyczajnie prawdziwe. Oczywiście skrajna nieznajomość techniki komputerowej może być dla człowieka szkodliwa. Niestety, w chwili obecnej mamy do czynienia ze skrajną nieznajomością zagadnień elektryczności.

Nieznajomość ta jest tak gruntowna, że np. entuzjaści ekologii nie widzą idiotyzmu w pomysłach, by sprzęt na siłowni podłączać do jakichś dynam produkujących prąd, bo nie mają elementarnego wyczucia skali mocy urządzeń elektrycznych. Brak elektrycznej wiedzy pozwala ludziom entuzjasmować się autkami na bateryjki. Nie za bardzo wiedzą oni, co to amperogodziny i cykle ładowania akumulatorów. Podobnie jest z wiatrakami. Dzięki totalnej nieznajomości jednostek elektrycznych, nieodróżnianiu kilowatogodzin od kilowatów, ludzie dają sobie wciskać różne urządzenia, które mają zaoszczędzić kasę wydawaną na prąd; wierzą w rynek dostawców prądu elektrycznego (polecam poszukać artykułu w naszym dzielnym piśmie w którym to artykule człowiek, który wie o co chodzi, ładnie to opisał) i temu podobne cuda. Skrajne wykluczenie elektryczne pozwala robić ludzi w bambuko ładowarkami bezprzewodowymi, oszczędzaniem na trybie gotowości w urządzeniach. Pomijam już tu takie zaawansowane sprawy, jak zapobieganie przepalaniu się żarówek po zaplanowanych 1000 godzinach pracy czy zaoszczędzenie kilku stów na samodzielnym

wymieniu zasilacza do kompa, który kosztuje jakieś 70 złotych. Doprawdy kasa, jaką tracimy, popierając zbiorową głupotę w obszarze technologii elektrycznej, jest wielokrotnie większa od tego, co można zaoszczędzić samodzielnie, dokonując legendarnie ryzykownych napraw. Jakkolwiek dobrze wiedzieć, że akumulator 7,2 wolta od aparatu fotograficznego jest bezpiecznym urządzeniem elektrycznym, podobnie nie należy panikować, gdy wypadnie nam baterijka z telefonu komórkowego. Choćby dlatego, że to kompromituje panikarza. Przypomnijmy, że w wykluczeniu elektronicznym głównie chodzi o spozycjonowanie społeczne osobnika.

Nie mam zamiaru udowadniać, że należy zabrać się za likwidację „wykluczenia elektrycznego”. Chciałem natomiast podzielić się pewną obserwacją: wykluczenie elektroniczne jakby się nam zużyło. Przycichło, kasy zdaje mi się na jego likwidację ostatnio czyżby mniej? Na pewno temat spadł z pierwszych stron gazet, przestał być modny. Zaczęto natomiast mówić coraz głośniej o czymś innym, czego nie da się już ukryć.

Ten dość kłopotliwy i niechciany temat to bardzo marne i coraz marniejsze kształcenie w szkołach. Moim zdaniem wbrew pozorom oba zjawiska, niby bardzo od siebie odległe (czyli akcja walki z elektronicznym wykluczeniem osób starszych i faktyczne obniżanie poziomu kształcenia młodzieży) mają wspólne pochodzenie: przyzwolenie na pozorowane akcje. Pozorowanie kształcenia, pozorowanie problemu, pozorowanie walki z nim. Mogę jeszcze dodać, że na przykład tak zwany kryzys systemu bankowego to ta sama para kaloszy: silny nacisk na to, by promować pozorowaną działalność gospodarczą, zwaną inwestowaniem, doprowadził do powstania pozorowanych majątków. Wszyscy wiedza o tym, że to pic na wodę i fotomontaż, bo używają określenia „gospodarka wirtualna”.

Mówiąc krótko - mamy problem. Jak zawsze, od wieków, ludzie oszukują. Jak zawsze - wielkim problemem jest to, by się nie dać nabrać. Cóż, istotą oszukiwania jest to, że zawsze najskuteczniejsze jest ono wówczas, gdy jest w nim sporo prawdy, a przynajmniej część prawdy. Jak pomyśleć, to gdybym umiał lepiej komputery, to miałbym lepiej, i muszę się przyznać, że ciągle staram się uczyć czegoś nowego. To prawda, że gdybym miał konto w banku (z możliwością płacenia przez internet), to nie musiałbym prosić o pomoc kolegi. Która to pomoc zabierze mu kilka minut wolnego czasu. Zajmuję się owym wykluczeniem elektronicznym, pomimo że mam pełną świadomość: jest ono kompletną ściemą.

Mógłbym próbować udowadniać, że elektryczne wykluczenie jest ważniejsze. Ależ tak, bo na elektrycznej technologii stoi nasza cywilizacja, bez rozumienia takich pojęć jak moc czy energia nie da się zrozumieć lwiej części bardzo mądrych i mających sznyt uniwersalizmu dyskusji. Ale nie o to chodzi. To tak naprawdę gra słów. Tak naprawdę chodzi o to, że ludzie udają, oszukują, i że gdy znajdą jakąś brzmiącą wyjątkowo dobrze (albo obiecująco, albo mądrze) zbitkę słów (hasło czy nazwę), wówczas kant ma bardzo dobre branie. Cóż, wykluczenie elektryczne trąci myszką, Teslą czy Edisonem - elektroniczne jest nowoczesne. Dlatego jednak się nim choć trochę przejmuję. Nawet pomimo tego, że to kant stary jak świat, wywołanie wrażenia efektownym zaklęciem.

W kwestii wykluczenia elektronicznego chyba zyskaliśmy prostą mądrość: wiedza potrzebna do obsługi współczesnych urządzeń elektronicznych, które są diabelnie skomplikowane, nie ma nic wspólnego z ową komplikacją i jest tak naprawdę mikrusia. To zadanie na mniej niż minutę, by uruchomić telefon komórkowy czy cyfrowy aparat fotograficzny, a jeśli będziemy musieli sięgnąć po instrukcję, to oznacza, że projektant interface coś sknocił i w wersji firmware 1.1 już będzie poprawione.

Wykluczeniem elektrycznym nikt się nie będzie zajmował. Powód: trudno podejść do tematu, nie serwując trudnej i niewdzięcznej nauki. Likwidacja wykluczenia elektrycznego owszem, odbywa się, i to z dużymi sukcesami: wywaliliśmy ze szkół fizykę i w młodym pokoleniu nie ma takich, co by się na

prądzie znali, w każdym razie jest ich bardzo niewiele. W ten sposób zlikwidowaliśmy praktycznie do zera aspekt społeczny. Co prawda nie umiemy prądu, ale nikt nie jest w ten sposób w towarzystwie stygmatyzowany. Co prawda nie wiemy, jak uniknąć porażenia, ale to, jak widać, w społecznej perspektywie (ach, jak ja kocham wszelkie nowomowy) nie jest problemem.

Adam Cebula